

Waldemar Żelazny

ZAKLIKÓW I OKOLICE

w okresie wojny i okupacji niemieckiej

Rozdział VI. Ruch oporu i pacyfikacje 1943 (fragment)

Pacyfikacja Zaklikowa

Informacje na temat formowania się „Kompanii Warszawskiej” oraz aktywności różnych placówek w rejonie Zaklikowa musiały dotrzeć do służb niemieckich, bo latem 1943 roku okupant był przekonany, że w miasteczku znajduje się dowództwo ruchu oporu. Według Jana Długosza właśnie dlatego nad ranem 8 lipca hitlerowcy otoczyli Zaklików trzema kordonami wojska. Pierwotnie – jak twierdzi Długosz – miasto miało być całkowicie zrównane z ziemią, by nie pozostawić nawet śladu, że ktoś tu mieszkał, ale „w ostatniej chwili” Generalny Gubernator Hans Frank zmienił rozkazy, ograniczając represje do deportacji mężczyzn w wieku roboczym. Tę samą wersję przedstawia inny świadek Ryszard Kapica, który miał wówczas 17 lat: „Ponieważ Niemcy nie znaleźli broni, ani nie spotkali się z oporem, przyszedł rozkaz od Gubernatora Franka z Krakowa, żeby oszczędzić kobiety, starców i dzieci”.

Nie dotarłem do dokumentów, które potwierdzałyby tezę Długosza i Kapicy, ale nie można wykluczyć, że tak właśnie było. W większości opracowań historycznych pacyfikację Zaklikowa określa się jako część wielkiej operacji o kryptonimie „Wehrwolf”, prowadzonej na terenie dystryktu lubelskiego od czerwca do sierpnia 1943 roku. Nikt nie pisze o lokalnych powodach podjęcia akcji, ani o „korekcie” Hansa Franka. Zostawmy jednak te dywagacje, ważniejsze są fakty.

Jak już wspominałem przy innej okazji, od późnego wieczora do godzin porannych miasteczko było dozorowane przez cywilne patrole, które wyznaczał sołtys. Wartownicy chodzili z kołatkami i co jakiś czas musieli ich użyć, by Niemcy wiedzieli, że są bezpieczni. W nocy z 7 na 8 lipca okolice rynku, ul. Kościelną, część Sandomierskiej koło Bożnicy i ul. 3 Maja patrolowali Henryk Nieścior i

Czesław Wojtaszek. „Okolo godziny 3 było jeszcze szaro, od strony Janowa przyjechało parę samochodów pełnych Niemców. Część pojechała w stronę ul. Sandomierskiej, część pod zandarmierię i parę samochodów zostało na rynku. Zaczęliśmy kołatać, ale pewnie Niemcy wiedzieli, że to są wartownicy, nic nam nie mówili, więc poszliśmy do domu spać” - wspominał po latach Nieścior.

Zaklikowiaków patrolujących ulice nie zdziwiły ruchy wojsk niemieckich. Bagatelizowano także pojedyncze informacje o planowanej akcji, które docierały do mieszkańców już rankiem 7 lipca. Świadek Stanisława Flis pisze: „Wojsko, które robiło akcję na Paramie i innych wsiach, kwaterowało u pani Kamińskiej na placu w samochodach (tu, gdzie mieszka Maria Trybuła). Był wśród żołnierzy młody Austriak, przychodził do domu Gotnerów, moich rodziców, mieszkających przy (późniejszym) Ośrodku Zdrowia na Sandomierskiej. Powiedział w sekrecie, że będzie akcja, ale nie bardzo wierzyliśmy mu. Rano – 8 lipca – ojciec poszedł kosić łąkę... I szybko wrócił, bo Niemcy byli już wszędzie”.

Oto jak relacjonuje przebieg tamtych pamiętnych wydarzeń Aleksander Zakościelny: „Gestapowcy zbrojeni w broń automatyczną i granaty, zacieśniając pierścień, wchodzili kolejno do mieszkań. Zaczęli obławę od rogatek, a potem szli do środka miasta na tzw. rynek. Wypędzonym na plac ludziom oznajmiono, że następuje wysiedlenie. Przestraszonym mieszkańcom pozwolili na powrót do domu, żeby spakowali rzeczy. Na tę czynność dali jednak pół godziny. Wszystkie domy kazali otworzyć, a w drzwiach pozostawić klucze. Niewykonanie tego rozkazu groziło spalaniem zabudowań i śmiercią domowników”.

Henryk Nieścior po nocnej warcie jeszcze spał. „(...) Moja mama zbudziła mnie i powiedziała bym wstawał, bo Niem-



Rynek i ul. 3 Maja w 1942 roku. Widok z dzwonnicy. Fot. ze zbiorów rodziny Skroczyńskich



cy wyganiają wszystkich z domu na rynek i wtedy poczułem, że coś złego będzie, chciałem uciec do lasu, który był tuż za płotem, ale z chwilą zbliżania się do furki zobaczyłem dwa stanowiska karabinów maszynowych skierowanych w nasze domostwo, wówczas zrezygnowałem, bo byłaby to niechybna śmierć” - wspomina.

Aleksander Zakościelny stał już na rynku. „(...) Było kilkanaście minut po siódmej. (...) Z każdą chwilą zwiększała się ilość ludzi pędzona przez zbirów faszystowskich także i z okolicznych wsi, jak Gielnia, Irena, Parama i innych. (...) Zaczęło się poszukiwanie znajomych i kompletowanie rodzin. Razem z matką odszukaliśmy ojca i rodzeństwo. Wśród tłumu wzrastał niepokój. Byliśmy otoczeni wojskiem SD i SS. U wylotów ulic ustawione były ciężkie karabiny maszynowe, skierowane lufami do tłumu. Wyczekiwanie przedłużało się – krążyły wieści o rozstrzelaniu nas i spaleniu miasta. W międzyczasie hitlerowcy przeprowadzili rewizję opustoszałych zabudowań gospodarczych i domów mieszkalnych” – wspomina Zakościelny.

„Okolo południa przybyli na rynek gestapowcy wraz z folksdutchem Splittem. Kazali się uciszyć i usiąść” - pisze Nieścior. „W pewnej chwili usłyszeliśmy wybuchy i ujrzeliśmy kłęby ciemnego dymu koło kościoła – relacjonuje dalej Zakościelny. „Doszły do nas wiadomości, że gestapowcy wprowadzili do wikarówki (...) dwie młode dziewczyny, zamknęli je i przez okna obrzucili granatami. Zginęły w płomieniach palącego się domu. Prawdopodobnie podczas rewizji znaleziono u nich zdjęcie policjanta niemieckiego z miejscowego posterunku, który zginął z rąk partyzantów. Były to siostry, córki Wróblewskiego z Zaklikowa: Zofia i Stanisława”.

Informację tę potwierdził po latach Mirosław Wróblewski, siostrzeniec Zofii i Stanisławy. Niemcy rzeczywiście znaleźli u jednej z nich fotografię żandarma, którego wiosną ubiegłego roku zastrzelono na Barakach. Podejrzewali, że to Stasia Wróblewska, wydała Niemca partyzantom i aresztowano ją tuż przed pacyfikacją. Na swoje nieszczęście 8 lipca Zofia przyniosła jej jedzenie do aresztu i obydwie zaprowadzono do wikarówki. Zginął tam również kierownik mleczarni o nazwisku Rak, którego podejrzewano o współpracę z ruchem oporu.

Naocznym świadkiem tej tragedii była Krystyna Majewska (Dolińska). Miała wówczas 14 lat i mieszkała z rodzicami przy ul. 3 Maja – naprzeciwko wikarówki. Obok nich był posesja rodziny Moskałów. „Bolesława Moskał była moją koleżanką” – wspomina pani Krystyna. „Razem stałyśmy przed domem i obserwowałyśmy wydarzenia tego dnia. Widziałam, jak Niemcy przyprowadzili kierownika

mleczarni w Zaklikowie. Niósł on walizeczkę, która mu się otworzyła i posypały się z niej banknoty. Niemcy je pozbięli i wprowadzili go do wikarówki. Po pewnym czasie usłyszałam kilka strzałów, a potem wewnątrz podłożony został ogień. Ponieważ słabo się paliło, Niemcy przynieśli wiązki słomy ze stodoły i powybijali okna, zrobili przeciąg i wtedy zajęło się ogniem. Niemcy zawołali mnie i koleżankę do kościoła i kazali "kalikować", a sami urządzili sobie koncert, profanując święte miejsce. Chodzili wokół ołtarzy i naigrywali się. Na widok pożaru przyszli żandarmi z ul. Kościelnej zobaczyć, co się dzieje, chcieli polecić gaszenie, ale tamci sprzeciwili się i budynek spłonął”.

Należy jeszcze dodać, że wraz z wikarówką spłonęły wówczas wszystkie akta i księgi parafialne, prowadzone skrupulatnie od 5 września 1608 roku, czyli od dnia erygowania parafii w Zaklikowie.

Wróćmy teraz do relacji świadka pacyfikacji Aleksandra Zakościelnego. Pisze on dalej: „Zgrupowano wszystkich od strony budynku, w który rządził wójt nazwiskiem Splitt. Druga połowa placu była pusta, stał tam wówczas tylko pomnik z ryngrafem Józefa Piłsudskiego, ogrodzony niskim płotem, i rosło kilka drzewek. W pewnym momencie zgrupowali się oficerowie gestapo i każdy musiał szybko przejść obok nich na drugą stronę pustego placu; jednym kazano iść na stronę lewą, a drugim na stronę prawą. W ten sposób stworzono dwie grupy, oddzielone dość dużą przestrzenią, pod silnym konwojem esesmanów. Na lewą stronę, obok pomnika, kierowano osoby stare, niedołężne, kobiety i dzieci oraz najbardziej potrzebnych pracowników fizycznych z miejscowego tartaku, których pozostawienie wyjednał u gestapo kierownik tartaku – Hausenbichel, Niemiec. Ponadto skierowano na lewą stronę ludzi potrzebnych do funkcjonowania istniejących zakładów pracy, no i niektórych uprzywilejowanych, bo byli i tacy. Mnie i mojego ojca oraz wielu innych, młodych i w średnim wieku skierowano na prawą stronę”.

Henryk Nieścior zasugerował w cytowanych wspomnieniach, że Hausenbichel mógł być osadnikiem ze wschodu, bo kiedy zwalniano jego pracowników podobno mówił za każdym razem „moja rebiata”.

„Mieszkańców skupionych z lewej strony zwolniono do domów. Nas zaczęto formować i przygotowywać do opuszczenia miasta. W ostatniej chwili przypędzono z wielkim krzykiem jakiegoś mężczyznę i dołączono do naszej grupy. To był Klimowicz, leśniczy” – pisze dalej Aleksander Zakościelny. Ten sam Klimowicz, który według relacji Długosza był pierwszym komendantem Rejonu 8 ZWZ w Zaklikowie.

Z relacji innych świadków wiemy, że z niezrozumiałych powodów Niemcy zwolnili więcej osób, m.in. Mariana Życzynskiego, który należał do miejscowej partyzantki. Eugeniusz Sapiński, który stał wówczas w tłumie stłoczonym na rynku zapamiętał, że ostali się tylko nieliczni: „Jerzy Stryjecki – lekarz, który odbierał poród Stefanii Barańskiej (urodziła wtedy córkę Halinę), Tadeusz Sapiński obsługujący telefon na poczcie, pracownicy tartaku oraz ci, którzy obiecali, że będą tam pracować”.

Sapiński relacjonuje dalej, że przed wieczorem pod silną eskortą Niemcy zaprowadzili wszystkich do magazynu spółdzielczego, który stał przy stacji kolejowej. „Do dnia dzisiejszego nie mogę zapomnieć jaki był straszny szloch i płacz żon, matek i dzieci, jak nas gnali na stację”. Tam, dosłownie w ostatniej, chwili córka Władysława Słubickiego Wanda wyciągnęła ojca, mówiąc, że jest to jedyny aptekarz w mieście.

Dalsze losy więźniów znamy z kilku relacji. Świadkowie potwierdzają, że wkrótce podstawiono bydłce wagony i po załadowaniu wszystkich więźniów pociąg ruszył w kierunku Lublina. Na bocznicę kolejowej w Kraśniku udało się zbiec dwóm osobom: Feliksowi Janikowi i Spasikowi. Reszta odjechała na Budzyń. Po dotarciu do obozu skład zatrzymał się. „Noc spędziliśmy w wagonach za ogrodzeniem z drutu kolczastego” - pisze Aleksander Zakościelny.

W czasie pacyfikacji Zaklikowa 8 lipca 1943 roku 451 mężczyzn i chłopców w wieku powyżej 15 lat wywieziono do obozu pracy na Budzynie pod Kraśnikiem. Miasteczko wyludniło się. W „Biuletynie Informacyjnym” AK zamieszczono relację z tych wydarzeń, z której dowiadujemy się, że „W Zaklikowie licząc dawniej 4 tys. ludności, pozostało 4 mężczyzn, w tym burmistrz i lekarz”. Zdanie to wprawdzie nie pokrywa się prawdą, ale świadczy o skali lipcowej pacyfikacji.

Budzyń

W przededniu wojny, pod Kraśnikiem, zaczęto budować jedną z fabryk przemysłu metalowego w ramach tzw. Centralnego Okręgu Przemysłowego. Niemcy wykorzystali olbrzymie hale fabryczne, lokalizując tu filię znanej wytwórni samolotów Heinkla. Produkowano głównie bombowce na potrzeby Luftwaffe. Tanią siłą roboczą stanowili więźniowie z obozu pracy, utworzonego jesienią 1942 roku. Stacjonowali w barakach nieopodal fabryki. Komendantami obozu w Budzynie byli kolejno: Otto Hantke, Heinrich Stoschek, Reinhold Feix, Werner Mohr, Fritz Tauscher oraz Josef Leopold. Mieszkali w osiedlu fabrycznym, w budynku przylegającym do obozu przy zbiegu dzisiejszych

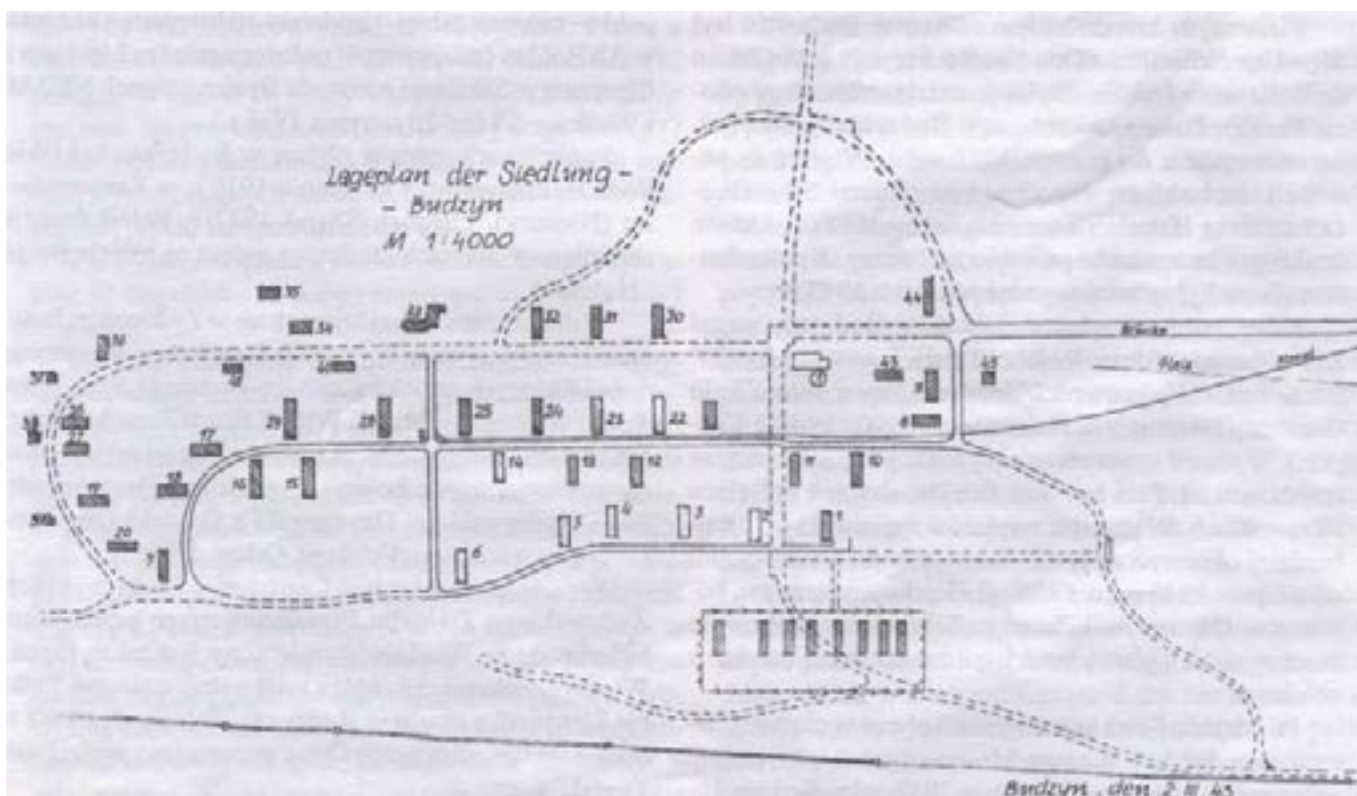
ulic Krasińskiego i Mickiewicza. Komendantura mieściła się na pierwszym piętrze, zaś parter budynku zajmowali ukraińscy strażnicy. Szczególnie złą sławą odznaczył się Reinhold Feix, który był komendantem obozu od lutego do sierpnia 1943 roku. Ten niespełna trzydziestoletni fryzjer z zawodu, pochodzący z miejscowości Neudorf w Sudetach odznaczał się sadystycznymi praktykami, na które patrzył jego sześćioletni syn.

22 października 1943 roku Budzyń został podporządkowany obozowi koncentracyjnemu na Majdanku, stając się częścią wielkiej maszyny śmierci w dystrykcie lubelskim. W czerwcu 1944 r. nastąpiła ostateczna likwidacja obozu w Budzynie. Do Majdanka przywieziono większość Żydów. Pozostałych, w liczbie ponad 300, firma Heinkel uchroniła od zagłady. Zostali skierowani do zakładów zbrojeniowych w Wieliczce i Mielcu, a także do Skarżyska Kamiennej i Starachowic. Obóz w Budzynie był jednym z nielicznych na Lubelszczyźnie, który działał do końca okupacji. Był ważnym ogniwem gospodarki wojennej Rzeszy, produkującym części do samolotów. Dlatego też funkcjonował prawie do samego wyzwolenia.

Żeby poznać losy Zaklikowiaków i zrozumieć niełatwe czasy, w których przyszło im żyć idźmy dalej śladami Aleksandra Zakościelnego i innych więźniów, którzy wraz z setkami mieszkańców miasteczka trafili do tutejszego obozu pracy. Zakościelny pisze tak: „Kiedy nasz transport wypędzono z wagonów do pomieszczeń fabrycznych (...) w hali, na cementowej podłodze leżał rzekomo pobity mężczyzna. Był to Klimowicz, którego często widywałem w towarzystwie policji niemieckiej i niejednokrotnie rozmawiałem z nim”. Według relacji więźnia w Budzynie skoszarowano wówczas ok. 5 tys. osób. Kobiet nie było.

Opis pierwszych dni w obozie znajdujemy także we wspomnieniach Henryka Nieściora. Oto ich fragmenty: „Na środku hali stał stół, na nim erkaem i Niemiec pilnujący leżących i siedzących pod ścianami więźniów, którym nie wolno było się podnieść, ani rozmawiać. Stąd zabierali ich na przesłuchania, które odbywały się w małych kajutach bez drzwi, na widoku czekających na swoją kolejkę. (...) Przesłuchiwanym przez kilka dni bito. Eugeniusza (Sapińskiego) za zbyt hardą odpowiedź na pytanie jakie czytał gazetki, skatowano na skrzynce po gwoździach – dwóch esesmanów na przemian biło 25 razy trzonkami od łopat”.

Przesłuchania rozpoczynały się od sprawdzenia dokumentów. Potem wołano więźnia. „Przedłożono mi wykaz nazwisk ludzi z Zaklikowa i wymuszano, abym wskazał, którzy należą do organizacji oraz wmawiano mi, że organizacja jest już rozszyfrowana” – relacjonuje Zakościelny. „Nic



Obóz pracy w Budzynie. Fot. Kraśnik.eu - oficjalny portal miasta Kraśnika



nie odpowiedziałem. Zdarto więc ze mnie marynarkę i spodnie, przywiązano ręce do głowy, okręcono płaszczem, nogi, wepchnięto pod ławkę, pod brzuch; na ławkę położono skrzynkę po gwoździach, nachylono mnie do ławy, a na głowę usiadł mi gestapowiec. Dwóch innych biło mnie drewnianą łatą po krzyżu i nogach”.

Wobec braku odpowiedzi, po dwóch minutach, powtórzono czynności. Tyle, że bardziej brutalnie. Po trzecim bi-

ciu Zakościelny stracił przytomność. Obudził się w kałuży krwi. W nieznanym pomieszczeniu. „Z dała ode mnie siedziała grupa mężczyzn, skupionych w jednym kącie. W pozostałych stały karabiny z obsługą SS (...) Co pewien czas załadowywano i rozładowywano je, co nerwowo wykańczało siedzących. Dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, gdzie jestem. W grupie siedzących rozpoznałem kilkunastu Zaklikowiaków. Byli to: Jan Siwy, Jerzy Zakościelny, Józef Wesołowski, Ksawery Komierzyński, Euge-



Zenon Dudziński z siostrzeńcem Januszem Macierzyńskim około 1940 roku. Fot. ze zbiorów rodzinnych Beaty Kowalczyk

niesz Sapiński, mój wujek, Jan Skroczyński, Aleksander Świdorski, Cyprian Ciesielski, Stefan Dziechciarski, mój brat stryjeczny – Bolesław Zakościelny, Wiktor Popiak, Henryk Nieścior oraz kilku z okolic Zaklikowa, których nazwisk nie pamiętam”.

W hali z Zakościelnym przebywało 172 więźniów. Większość z nich słyszała krzyki gestapowców i odgłosy bicia, dobiegające z pokoju przesłuchań. A potem strzał z pistoletu. Tak zginął młody chłopiec mieszkający przy ul. Zamkowej w Zaklikowie – Zenon Dudziński. Gestapo wiedziało, że kolportuje on prasę konspiracyjną, bo jedną z gazetek dał niejakiemu Krajewskiemu z Radomyśla, a to była ich wtyczka w ruchu oporu. Torturowano go, ale Dudziński był twardy. Nie wydał kolegów. W końcu jednak nie wytrzymał i rzucił się na gestapowca. Postrzelono go i pół żywego zakopano za barakiem 9 lipca 1943 roku.

Informacje te potwierdzają świadkowie, a zarazem koledzy Dudzińskiego. Eugeniusz Sapiński pisze wprost: „Dudziński pracował w Radomyślu razem z Krajewskim i to on poskarżył do Niemców. (...) Mieli go w kartotece. Po pierwszym dniu Dudziński miał przestrelone stopy, po dalszych

przesłuchaniach zmarł”. W relacji Nieściora czytamy: „Dudziński podobno wyrwał Niemcowi trzonek od łopaty i chciał go uderzyć. Padły dwa strzały, jeden w brzuch, drugi w krocz. (...) Wywlekli go i skonał prawie na moich kolanach. Po wyzwoleniu zwłoki odkopano, bo żył jeszcze jeden świadek, który go zakopywał i sprowadzono do Zaklikowa. Został pochowany na miejscowym cmentarzu z honorami wojskowymi, gdzie jest obelisk Chrystusa i krzyż z napisem: *Przechodniu powiedz Ojczyźnie tu leży jej syn zamordowany w katowni gestapo w 1943 roku*”.

Dudziński nie był jedyną ofiarą obozu pracy na Budzynie. „Co pewien czas przez naszą salę przechodzili esesmani ukraińscy w czarnych mundurach i gestapo. Przypędzali po kilka osób skutych kajdanami i wyprowadzali na zewnątrz budynku, gdzie były zarośla. Za nimi szły grupy mężczyzn z łopatami” – pisze Aleksander Zakościelny. Wiemy, że torturowano Stefana Głuchowskiego z Ireny – miał odbite nerki i umarł zaraz po wojnie. Bity do nieprzytomności był także Stanisław Oczak, nauczyciel.

Gestapo w obozie na Budzynie próbowało rozpracować zaklikowski ruch oporu, używając różnych metod. Także tych

bardziej wyrafinowanych. „Rano następnego dnia z wielkim krzykiem i przekleństwami (...) oprawcy przypędzili do naszej sali Klimowicza i kazali mu stać nieruchomo pod ścianą obok naszej grupy. Przez dłuższy czas wykrzykiwali przed nim, że jest przywódcą tej bandy i że on i my zostaniemy rozstrzelani. (...) Kiedy zapadła noc, Klimowicz przyczołgał się do mnie, a potem jeszcze do innych kolegów niedoli, siał ferment i namawiał, żeby się ujawnić, bo nas wszystkich rozstrzelają. (...) Koniecznie chciał się coś dowiedzieć o pracy podziemia. Nic się nie dowiedział. (...) Po kilku dniach został komendantem tej sali”.

Współpracę leśniczego Klimowicza z gestapo, którą opisał Zakościelny, potwierdzili później inni więźniowie Budzynie, min. Ksawery Komierzyński. Nic nie wiemy o dalszej działalności tego kolaboranta, ale najprawdopodobniej skierowano go jakichś zadań w terenie. Z notatek Jana Długosza wynika, że 10 lipca 1945 roku Klimowicz wracał „z lasu” i na szosie pomiędzy Lipą a Zaklikowem natknął się na oddział dowodzony przez Edwarda Gronczewskiego ps. „Przepiórka”. Można więc powiedzieć, że Budzyń po niego wrócił, bo zabiła go grupa operacyjna krasnickiego UB.

Na Krochmalnej w Lublinie

Z różnych relacji wiemy, że deportowani 8 lipca 1943 roku nie byli pierwszymi więźniami obozu pracy w Budzynie. Kilkanaście osób z Zaklikowa i okolic pracowało w miejscowej wytwórni samolotów bojowych. Z całą pewnością ocalał Bronisław Rokicki z Ireny. Na początku 1943 roku wybuchła tam epidemia tyfusu plamistego. Zanim o zarazie dowiedział się komendant Feix i kazał rozstrzelać wszystkich, czyść chorych przewieziono do obozowanego lazaru, a resztę – z braku miejsc – przetransportowano do szpitala w Gościeradowie. W tej grupie był właśnie Rokicki. Miał wtedy 16 lat.

W obozie pracy na Budzynie dość szybko dokonywano selekcji. Ci, którzy przeżyli przesłuchania kierowani byli do pracy w zakładach Heinkla, zastępując wycieńczonych robotników. Innych kierowano do obozów przejściowych w Lublinie przy ul. Krochmalnej 6 i 31, działających pod nadzorem miejscowego Arbeitsamtu (Urzędu Pracy) albo na Majdanek – do obozu koncentracyjnego. Najwięcej szans na powrót do domu mieli ci, których przywieziono na Krochmalną.

Tam trafił m.in. ojciec i szwagier Stanisławy Flis. „Dowiedzieliśmy się, że można z tej Krochmalnej wyciągnąć swoich” – wspomina. „Kierownik mleczarni w Zdziechowicach dał zaświadczenie, że ojciec pracuje w mleczarni

(woził mleko z Zaklikowa do Zdziechowic). Matka z siostrą moją Stryjecką Ireną pojechały pociągiem do Zemborzyc, dalej na piechotę, bo Niemcy nie puszczali – trzeba było mieć specjalną przepustkę. Siostra miała też zaświadczenie, że w Budzynie jej mąż pracuje – wzięły ze sobą łapówkę dla wartowników – wódkę i słoninę. Puścili ich do środka, do urzędu i tam załatwili zwolnienie dla ojca mojego i szwagra”.

Na Krochmalnej przebywał też Adam Sapiński. „Lekarze nauczyli go udawać chorego, a ktoś z Nasycalni w Lipie wystąpił o jego zwolnienie, chociaż nigdy tam nie pracował. Zwolniono go po kilku dniach. Podobnie jak Ryszarda Kapicę i kilku innych więźniów, o których upominał się kierownik tartaku w Zaklikowie. Część osadzonych zbiegła, m.in. Marian Przywara i Marian Kasproicz z Ireny, a pozostałych wywieziono w różnych kierunkach. Do obozów pracy, które często niewiele różniły się od obozów koncentracyjnych.

Majdanek i zaklikowscy murarze

Pierwszy transport więźniów pacyfikacji Zaklikowa na Majdanek odszedł z Budzynie 13 lipca 1942 roku. Do obozu koncentracyjnego trafili wówczas: Barański Czesław, Ciesielski Cyprian, Długosz Aleksander, Dziechciarski Stefan, Godzina Piotr, Janik Karol, Komierzyński Franciszek, Kłosiński Roman, Moskał Mieczysław, Nieścior Henryk, Pęziół Aleksander, Pankowski Michał, Popiak Wiktor, Sapiński Eugeniusz, Sapiński Bronisław, Siwy Jan, Sołtys Miłosz, Sapalski Zygmunt, Skroczyński Jan, Świdorski Aleksander, Wesołowski Józef, Zakościelny Aleksander, Zakościelny Jerzy, Zakościelny Bolesław.

Po przymusowej kąpieli Żydzi ogolili im głowy, wydali pasiaki i obuwie, czyli tzw. drewniaki holenderskie wykonane z jednego kawałka drewna. Noc spędzili spokojnie w nie strzeżonym baraku, gdzie była łaźnia, ale nad ranem dawny świat przestał istnieć. Zaczęło się piekło obozowego życia. Już pierwszego dnia zmarł z wycieńczenia Aleksander Świdorski. „Nikt nie mógł być pewien, że stamtąd wróci. Wystarczyło podpaść kapo, który czasem z błahego powodu potrafił zatłuc więźnia na śmierć” – te zdania przewijają się w relacjach wielu więźniów Majdanka.

Eugeniusz Nieścior wraz ze Stefanem Dziechciarskim pracowali przy budowie baraków, Aleksander Zakościelny brukował chodniki, a Bronisław Sapiński segregował macewy żydowskie. „Lato było upalne – puchli od słońca. Stryjek tak spuchł, że oślepl” – czytamy we wspomnieniach obozowych Eugeniusza Sapińskiego. Jednym z niewielu więźniów, którzy po raz drugi trafili na Majdanek



Miniatura średniowiecznego zamku wykonana przez murarzy z Zaklikowa - więźniów obozu koncentracyjnego na Majdanku, 1943

był Michał Pankowski z Zaklikowa. Najpierw za odmowę służby w policji granatowej, a potem jako jedna z ofiar pacyfikacji Zaklikowa.

Przetrwanie w warunkach obozowych było trudne, ale pewnego sierpniowego poranka do części Zaklikowia-ków uśmiechnęło się szczęście. Niemcy potrzebowali najzdolniejszych murarzy do zaprojektowania i budowy kamiennej dekoracji, która miała zdobić pole przed kancelarią obozu. Nagrodą była dodatkowa porcja zupy i „nadzieja na lepsze jutro”.

Z dobrych murarzy i sztukatorów słynął Zaklików, więc wybrano ekipę pod kierownictwem Józefa Wesołowskiego. Oprócz Aleksandra Zakościelnego w jej skład wchodził jeszcze: Wacław Zakościelny, Bolesław Zakościelny, Bronisław Sapiński, Karol Janik, Marcin Janik, Piotr Go-

dzina, Michał Pankowski, Ksawery Komierzyński, Eugeniusz Sapinski, Jan Siwy, Jan Zakościelny, Wiktor Popiak, Henryk Nieścior i Stefan Dziechciarski. Replika zamku średniowiecznego, wykonana za miskę zupy przez zaklikowskich mistrzów, przetrwała do dziś i znajduje się na terenie Państwowego Muzeum na Majdanku w Lublinie.

Losy ofiar pacyfikacji Zaklikowa

Maria Barańska we wspomnieniu o mężu Tomaszu Barańskim pisze, że z Budzynia trafił on na Majdanek, a potem na wyspę Uznam (Usedom). „Pracował tam przez parę miesięcy, do chwili nalotu dywanowego aliantów, podczas którego zniszczona została fabryka produkująca rakiety V2. Pracujący tam z mężem Zaklikowiaci to: Bronisław Sapalski, Szczepan Gotner, Mieczysław Zakościelny, Pączek, Feliks



Jedna z rakiet w fazie produkcji, którą znaleźli Amerykanie w sztolniach Mittelbau-Dora. Fot. US Army

Zakościelny, Jan Świca, Ignacy Głuchowski, Stefan Polański, Zygmunt Gorczyca, Jan Stryjecki”. Robotnikami zakładów doświadczalnych w Peenemünde byli również Kazimierz Golach i Waław Ziółkowski z Ireny. „Po nalocie wszyscy wrócili do baraków, ponieważ fabryka została zniszczona. Niemcy pytali, gdzie chcą pracować u baorów, wielu poszło. Męża i innych skierowali do Bawarii na roboty przy drogach, kopali rowy. Tam pracowali ze Stefanem Polańskim aż do wyzwolenia” - pisze Barańska.

Do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie wywieziono m.in. Eugeniusza Sapińskiego, Jana Zakościelnego, Piotra Godzinę, Bolesława Zakościelnego, Aleksandra Długosza, Mieczysława Moskala, Cypriana Ciesielskiego, Zygmunta Sapalskiego, Karola Janika. Ich losy krzyżowały się z niedolą innych ofiar pacyfikacji z 8 lipca 1943 roku.

W Buchenwaldzie Eugeniusz Sapiński poznał por. Franciszka Ksawerego Komierzyńskiego, który wcześniej był zastępcą komendanta placówki AK w Zaklikowie. Z notatki sporządzonej przez Sapińskiego wynika, że Komierzyński załamał się psychicznie i próbował popełnić samobójstwo. Wybrał śmierć głodową. Swoje dzienne racje żywnościowe, czyli 15-20 dkg chleba razowego i litr zupy brukwiowej lub kartoflanki oddawał innym więźniom. Podobno nie mógł on sobie darować, że zaufał dowódcy, który „współpracował z Niemcami”. Obwiniał por. Tadeusza Ottę także o to, że jako nadleśniczy nawet nie podjął próby reklamowania go od deportacji. W notatce Sapińskiego



Robotnicy przymusowi w obozie Buchenwald, kwiecień 1945. Fot. H. Miller (US Army)

zawarty jest szczegółowy wykaz argumentów, które miały przekonać krajana do zmiany decyzji. Po trzech dniach Komierzyński zaczął jeść, a kilka miesięcy później w obozie koncentracyjnym Mittelbau-Dora pod Nordhausen, kiedy przydzielono go do pracy w kuchni, dokarmiał innych więźniów, m.in. Henryka Nieściora. Z Buchenwaldu nie wrócili: Cyprian Ciesielski i Jan Skroczyński.

W obozie pod Nordhausen, który utworzono po zbombardowaniu Peenemunde, by zapewnić siłę roboczą do zbudowania nowych zakładów zbrojeniowych (Mittelwerk), przebywało wielu mieszkańców Zaklikowa i okolic, głównie sprowadzonych z Buchenwaldu. Zgodnie z założeniami władz niemieckich więźniowie, których kierowano do obozu Mittelbau-Dora mieli przybywać w nim aż do śmierci, by informacje o fabryce i eksperymentalnych technologiach nie przedostały się na zewnątrz. Henryk Nieścior widział tam Miłosza Sołtysa, organizatora tajnej oświaty w Zaklikowie, który wkrótce zmarł. Katorżnicza praca w podziemnych sztolniach w okolicach góry Kohnstein, przy skrajnym niedożywieniu, braku lekarstw i terrorze służb policyjnych szybko wycieńczała więźniów. Umieralność była tam rekordowa. Zginęło ponad 20 tysięcy mężczyzn, sprowadzonych tu z różnych krajów Europy.

Do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod Berlinem wywieziono Wiktora Popiaka, Jana Skoczyńskiego, Stefana Skorka. Do Flossenburga trafili m.in. Władysław Barański i Jerzy Zakościelny, a do Oświęcimia Jan Siwy i Kazimierz Chrzastowski. W kwietniu 1944 roku duża grupa

więźniów Majdanka trafiła do Komande Kochen w Alzacji nad rzeką Mozelą. Skierowano ich do pracy przy drążeniu tunelu w granitowych skałach Alp. Michał Pankowski nie przeżył. Józef Wesołowski, Stefan Dziechciarski i Roman Kłosiński wrócili do domu.

Po likwidacji części obozów koncentracyjnych i obozów pracy na terenie Rzeszy część więźniów skierowano do rolnictwa. Na służbę do baora trafił m.in. Witold Słyk z Ireny. Był traktowany haniebnie, bity batem i wyzywany od polskich świń. W końcu nie wytrzymał. Któregoś dnia uderzył Niemca burakiem w głowę i uciekł. Przez kilka miesięcy tułał się po lasach, ale kiedy nastały wielkie mrozy i głód zaczął mu dokuczać, zgłosił się na policję. Aresztowano go i przewieziono do Dortmundu.

Na ścianie w celi brakowało miejsca na uwiecznienie. Tak gęsto pokryta była nazwiskami Polaków. Małe okienko celi wychodziło tuż nad chodnikiem na ulicę, którą dzieci chodziły do szkoły. To one dokarmiały go kanapkami rzucanymi w ukryciu. Po kilku miesiącach, kiedy był już w stanie skrajnego wyczerpania zabrał go Niemiec z Westfalii o nazwisku Mors. Wyleczył więźnia, odżywił i pozwolił pisać listy do rodziny. Kiedy weszli Amerykanie Witold odnalazł brata Waclawa, który również był na robotach.

Aleksander Kołodziej przez obóz przejściowy na ul. Krochmalnej w Lublinie trafił do miejscowości Heydebreck O.S. (dzisiejszy Kędzierzyn Koźle). Był więźniem Bierau Lager, gdzie przebywało blisko 2 tysiące Polaków, Czechów, Ukraińców i Francuzów pracujących w pobliskich zakładach chemicznych. Kołodziej należał do brygady obsługują-

cej aparaturę do produkcji Cyklonu B i innych gazów bojowych. Uwolniła go Armia Czerwona 30 stycznia 1945 roku.

Sporo szczęścia miał Aleksander Zakościelny. W lipcu 1944 roku znalazł się w grupie więźniów obozu koncentracyjnego na Majdanku, których skierowano do pracy w kraśnickiej cegielni. Udało mu się uciec i po wielu perypetiach wrócił pieszo do Zaklikowa.

Feliks Ciesielski w notatce dotyczącej wydarzeń z 8 lipca 1943 roku pisze o 350 osobach wywiezionych na roboty przymusowe. W tej liczbie dużą część stanowili więźniowie przekazani do przyfrontowej organizacji Todt, która w tamtym czasie zajmowała się budową obiektów wojskowych w różnych częściach okupowanej Europy, także na wschodzie.

Józef Polański trafił aż pod Leningrad. „W lichym odzieniu pracowaliśmy tam na mrozie sięgającym minus 50 stopni Celsjusza. W barakach panował głód i wszawica. Spaliśmy na łózkach zбитych z nie okorowanych żerdzi. Wielu umarło z wycieńczenia, inni, nie wytrzymując tego piekła, modlili się o szybką śmierć” - wspominał Polański. „Od stycznia 1944 roku zaczęli nas przemieszczać wraz z przesuwaniem się frontu. Tak trafiłem na Łotwę. Niemcy wycofali się, a my czekaliśmy na Armię Czerwoną. Byliśmy pewni, że to koniec koszmaru, ale Sowieci szybko sprowadzili nas na ziemię. Powiedzieli krótko: Skoro pracowaliście dla Niemców i nie uciekaliście, to teraz będziecie pracować dla nas. Warunki pracy nie zmieniły się, jedzenie gorsze niż u Niemców, a pilnował nas taki sam oberwaniec, jak my. Tyle że z pepeszą. Dopiero 6 tygodni po zakończeniu wojny pozwolili nam wrócić do kraju”.

Waldemar Żelazny